





T A N I E C

WIELBICIELKA CZECHOWA I MASŁOWSKIEJ. CHOCIAŻ PISZE SWÓJ TEATR SMUTKIEM, POKAZUJE „JASNĄ STRONĘ ULICY”. *Agnieszka Glińska ma za sobą 50 wyreżyserowanych spektakli i właśnie szykuje kolejny. Premiera „Efektu” Lucy Prebble w teatrze Studio 6 marca.* Rozmawia REMIGIUSZ GRZELA Zdjęcia RAFAŁ MASŁOW

„Efekt” to spektakl o miłości czy o depresji?

Lechoń napisał, że śmierć i miłość to najważniejsze tematy – „Jednej oczu się czarnych, drugiej modrych boję”. A depresja to w jakimś sensie śmierć. Chorzy często opisują swój stan: „Żyję tylko siłą rozpędu, tak naprawdę mnie nie ma”. W tej sztuce depresja i miłość są splecione. „I jedno wiemy tylko, i nic się nie zmienia – śmierć chroni od miłości, a miłość od śmierci”. Oczywiście, że robię spektakl o miłości, bo jest zagadką, chociaż próbuje się ją naukowo objaśnić, pokazać procesy chemiczne, jakie zachodzą w mózgu, w neuroprzebiegach, kiedy się zakochujemy. O tym jest ten tekst. Więc gdzie mieści się człowiek? W głowie? Sercu? We krwi? W myśleniu? ▶

W placebo?

No właśnie, przecież placebo też na nas działa. Ta historia jest bardzo realistyczna. Dziewczyna i chłopak z różnych powodów zapisują się dobrowolnie do kliniki testującej antydepresanty. Bohaterowie tej sztuki zastanawiają się, czy miłość, która im się przydarza, jest skutkiem ubocznym leków, które biorą. I to już jest dowcipne. Jeżeli miłość ma być skutkiem ubocznym, niech będzie. Byleby była. Poddają się badaniom, dostają coraz większe dawki leku. Po kolejnych coś się zaczyna dziać między nimi, iskrzyć. Odpychają to od siebie, nie ufają sobie samym. Dla mnie kolejne dawki leku są metaforą kroków zmniejszających odległość między nimi. Są jak kolejne dawki uczucia i uważności wobec drugiego. Dzięki temu coś w środku topnieje. Kruszą się blokady. Jak w filmie „Zelig”, gdzie uważność postaci granej przez Mię Farrow sprawia, że Zelig zaczyna mieć wgląd w siebie. Patrzenie w siebie to proces, który się nie kończy. To dzięki uczuciu dostajemy dostęp do siebie, do miejsc, których inaczej byśmy nie poznali. A czasem trzeba w sobie też posprzątać. Zbierają się pokłady nieprzerobionych spraw, niezłatwionych problemów. Leżą i gniją. Czasem trzeba pozamiatać, wyrzucić je.

Jesteś misjonarką psychoterapii?

Jestem. Psychoterapia daje narzędzia do poznania siebie i pomaga ograniczyć skalę cierpienia. Każdy żyje w cierpieniu. Smutek to przecież stan naturalny, tylko że czasem zupełnie niepotrzebnie sami go sobie przysparzamy. A psychoterapia daje możliwość rozkodowania i poznania emocji. Poza tym bez zrozumienia siebie nie można zrozumieć innych. Ani świata. Droga w głąb siebie wydaje mi się najważniejsza.

Reżyseria jest dla Ciebie rodzajem psychoterapii?

Nigdy nie była. Natomiast zawsze była sposobem obcowania z ludźmi, budowania relacji. Buduję mocne relacje zawodowe. Wspólna praca, drażnienie tematów tworzą więź.

Jako reżyser nie miałaś nigdy pokusy na zbiorowe terapie czy ustawienia bellingerowskie? Są reżyserzy, którzy tak pracują.

Zdaniem Hrabala „człowiek to jednak bardzo delikatny balonik”. Mówi to dozorca szpitala psychiatrycznego na końcu „Bambini di Praga”, spektaklu, który reżyserowałam w Teatrze Współczesnym. Jestem przeciwna manipulacjom i technikom, które wpływają na człowieka wbrew jego woli czy poza świadomością. Każdy zmienia granicę dostępu do siebie pod wpływem różnych okoliczności. Czasami trzeba dotknąć dna albo zaryć nosem w ziemi, żeby rozpocząć pracę ze sobą. Nie, nie miałam takich pokus. Przeciwnie. Moją największą siłą jest moja otwartość. Moja relacja z aktorami z zespołu teatru Studio bazuje na mojej ciekawości ich i na ich

ciekawości mnie. Poza tym to też kwestia zaufania. Dużo trudniej jest mi pracować z ludźmi nieufnymi. Wyznacznikiem jest radość szukania. W końcu nie pracujemy po to, żeby się zakatować czy zadreńczyć. Ale wyruszamy razem w podróż.

Czego szukasz w aktorach?

Szczeroci wobec samych siebie. Ale tego się człowiek uczy. Szczeroci nie jest dana od razu. Bywa, że w czasie prób czuję w aktorze blokadę. Może ma trudny moment w życiu? Bywa, że dochodzi do premiery, a ja cały czas czuję, że to jest nie to, ale nie cisnę, wiem, jakie są możliwości, jak mógłby to zrobić, ale skoro nie robi, to widocznie teraz nie może. Odpuszczam, dobra, będzie trochę gorzej na przedstawieniu, nie będzie tak, jak chciałam, to przyjdzie później. Zdarza się, że dopiero przy dziesiątym czy 30. przedstawieniu aktor dostaje skrzydeł i nagle ta hermetyczna bańka się otwiera. Szczeroci wobec siebie to też pokazywanie swojej osobowości. Również swojej niemożności. Sama pamiętam, jaka byłam zablokowana, kiedy studiowałam aktorstwo i później.

Wskazujesz Andrzeja Łapickiego jako tego profesora, który spowodował, że studiując, nie zwariowałaś, i Maję Komorowską, dzięki której zwariowałaś.

Wiem, to dwa bieguny. Dla mnie podarunek od losu. Byłam szczęściarą, że trafiłam pod te skrzydła. Maja nas kusiła, pokazując wielką magię i nadprzyrodzone możliwości, a Andrzej Łapicki to wszystko tonował i dawał poczucie bezpieczeństwa, z którego z kolei Maja nas wytrącała. Poza tym, choć to byli bardzo różni aktorzy, wspaniale było patrzeć, jak się szanują, lubią. Ich relacja to była też nauka.

Jak to się stało, że to reżyseria Cię porwała z aktorstwa?

Dzisiaj myślę, że byłam mało elastycznym materiałem, szłam w zaparte. Gdybym sama trafiła na taką studentkę, jaką byłam, namawiałabym ją do zmiany zawodu. Zobaczyłabym, że to nie jest przestrzeń, w której się powinna realizować. Dotarło to do mnie pod koniec studiów. Miałam później cudowną studentkę, która zrezygnowała po drugim roku. Była fenomenalnie zdolna. Poczuli, że aktorstwo nie daje jej satysfakcji, jakiej oczekiwała. Postanowiła szukać dalej. Zaimponowała mi. Wspierałam ją w tej decyzji.

A czego Tobie brakowało?

Elementarnej potrzeby występowania przed ludźmi. Okropnie się wstydziłam wychodzić na scenę.

To mówi każdy aktor w każdym wywiadzie.

Ale jednocześnie mówi, że kiedy już staje przed publicznością, to mu to coś daje. Sam fakt stawania przed widzami



K A Ż D Y

ZMIENIA GRANICĘ DOSTĘPU DO SIEBIE pod wpływem różnych okoliczności. Czasami trzeba dotknąć dna albo zaryć nosem w ziemi, żeby rozpocząć pracę ze sobą.

nic mi nie dawał. W dalszym ciągu czułam się źle. Poza tym byłam bardzo daleko od siebie. Miałam dwadzieścia kilka lat i naprawdę byłam w bardzo słabej komunikacji ze swoimi emocjami. Nie miałam narzędzi do uprawiania tego zawodu. W czasach licealnych i studenckich kogoś sobie wymyśliłam. Na szczęście z tego wyrosłam.

Jaka była Agnieszka „wymyślona”?

Bardzo *sophisticated*. Taka dekadenccka. Na pewno udawałam, że się mniej boję, niż się bałam. Była odważniejsza ode mnie.

Jakie lektury cię ukształtowały?

Tu pewnie cię zaskoczę, bo to nie była wielka literatura. Ukształtowały mnie lektury dla nastolatków z lat 70. Zupełnie dzisiaj zapomniane. Wciąż jest pamiętana Krystyna Siesicka, ale przecież było w tamtym czasie wiele wspaniałych autorek. Książki na przykład Ewy Ostrowskiej dosłownie wrywałam z biblioteki. Już nie mówię o moich ukochanych „Słonecznikach” Haliny Snopkiewicz. Do dużej literatury dorosłam dużo później.

Co było siłą książek, które czytałaś?

Opisywanie skrajnych stanów. Coś takiego spotkałam jedynie w filmie Sofii Coppoli „Przekleństwa niewinności”. Nie ma nic trudniejszego niż być 13-letnią dziewczynką. A te książki opisywały trud tego bycia. Ból. Naprawdę chętnie bym do nich wróciła. Nie sądzę, że to była zła literatura.

Trudno było być 13-latką?

Strasznie. Współczuję mojej córce, że wchodzi w ten wiek. Na szczęście jest wewnętrznie bardziej ustabilizowana, niż ja byłam. Ale i tak będzie jej ciężko, bo jest każdej dziewczynce. Zmienia się z dziecka w kobietę, którą jeszcze nie chce być. W ogóle wydaje mi się, że ten moment dorastania, dojrzewania to najtrudniejszy czas w życiu. Pippi wymyśliła „pigułki z arbuza – żeby nigdy nie dorosnąć”.

„Pippi Pończoszankę” reżyserowałaś dla siebie?

Dedykacja była dla Janki, żeby wiedziała, co mama robi, kiedy wychodzi z domu. Ale to, że robię ten spektakl dla siebie, odkryłam już w trakcie pracy. I chyba wszyscy w zespole robili go dla siebie. Pippi nas inspirowała. Lubię robić dziecięce spektakle, bo dają więcej wolności. Świat dorosłych nie jest tak czysty.

Pamiętam, jak siedziałem obok Janki na „Opowiadaniach dla dzieci” Singera w Teatrze Narodowym. Bardzo się w pewnym momencie zaczęła denerwować i mówiła: „Tata nie ➤

zdąży na arkę Noego". Bo tata, Krzysztof Stelmaszyk, grał Leniwego Ukę.

Janka zna teatr od kulis i od prób, ale doświadcza go cały czas z nieskazitelną czystością. Nic w jej odbiorze nie jest skrzywione. Po prostu chłonie. Pierwsze przedstawienie, jakie widziała, to „Ach, jak cudowna jest Panama!” Piotra Cieplaka w Teatrze Powszechnym. Miała trzy latka. Cały spektakl stała pod samą sceną, nie chciała siedzieć. Wołała: „Misiu, misiu, kocham cię. Misiu”.

Wzruszyło cię to?

Strasznie. Była taka scena, kiedy bohaterowie rozbijają namiot i pada deszcz. Przybiegła do mnie i mówi: „Daj mi sweter”. Pytam: „Zimno ci?”. „Nie, misiowi zimno”. Dałam, a ona mu zanosła.

Chciałabyś umieć tak oglądać teatr?

Bardzo. Było tak. A teraz strasznie mało mi się podoba, czego w sobie nie lubię.

Od czasu do czasu zdarza ci się grać. Masz z tego przyjemność?

Już mam. Przełamał to Andrzej Wajda propozycją zagrania w „Katyniu”, bo wyciągnął do mnie rękę. Wcześniej wiele razy mi powtarzał, że powinien grać. Nie ufałam mu. Ale kiedy zagrałam, poczułam dużą satysfakcję. Teraz jestem na takim etapie świadomości siebie, że bardzo chętnie bym zagrała. Czuję, że mam coś do oddania. Od 14 lat uczę w szkołach teatralnych. Bardzo dużo sobie uporządkowałam, ponazywałam. Zdarzało się, że grałam w swoich spektaklach, kiedy jakaś aktorka zachorowała. Thumaczyłam sobie: „No, dobra, żeby się nie zmarnowało, żeby ten spektakl był zagrany...”. I wskakiwałam w to.

Sprawdzian?

Oczywiście. Każdemu reżyserowi życzę, żeby zagrał w przedstawieniu, które sam wyreżyserował. Dopiero od tej drugiej strony można poczuć, czy ta „rzeczywistość” trybi, czy nie. Żałuję, że minął już czas, kiedy mogłam zagrać Helenę w „Wujaszku Wani”. Kiedy mogłam, nie miałam jeszcze psychicznych predyspozycji. A teraz już za późno. Helena opowiada o zakłętej, wytłumionej i cichej kobiecej mądrości. Mądrości, którą się nie epatuje. O własnym rozumieniu świata. I zgodzie na to, że inaczej nas widzą, niż sami siebie widzimy. A kiedy się to rozumie, żyje się mądrze. To superciekawa postać.

Zagrałabyś monodram?

Nie zarzekam się. Szukam materiału dla siebie. Jak wpadnie mi w ręce tekst, z którym chciałabym się zmierzyć, zrobię to. Lubię debiutować. Lubię się uczyć, z wiekiem coraz bardziej.



TRZEBA BYĆ PRZEZ CAŁE ŻYCIE bezwarunkowo i absolutnie szczęśliwym, wystarczą chwile, sekundy zgody na bycie we wspólnocie, w której miliardy ludzi żyje, pracuje, cierpi, umiera.

Mówiłaś, że w szkole miałaś poczucie braku komunikacji z własnymi emocjami. Kiedy to się zmieniło?

Niedawno. Dopiero po czterdziestce uznałam, że wolno mi się sobą zajmować. Wcześniej uważałam, że to najwyższy rodzaj egoizmu. Ważni są wszyscy, tylko nie ja. W końcu zaczęłam o sobie myśleć, również uprawiać sporty. No ale musiałam się rozszarpać, żeby się poskładać.

Łatwo podjąć taką decyzję?

Bardzo trudno. Człowiek tak się tapla w swoim złym stanie. Jak mu jest bardzo źle, to często robi wszystko, żeby mu było jeszcze gorzej. Każdy ma jakiś poziom autodestrukcji, większy lub mniejszy.

Bywa, że już zupełnie funkcjonujemy pod powierzchnią, a czasami tylko na chwilę wyskakujemy, żeby złapać oddech albo dorzucić sobie kamieni do kieszeni.

Taki jest mechanizm tej choroby – depresji. Nie chce nas zostawić.

Co się musi stać?

U mnie dzieci zadziały. Myśl o tym, co im funduję, będąc w takim stanie. Przeraziła mnie świadomość, że przez duży fragment życia będą miały matkę, która nie daje rady. To było najsilniejszą motywacją.

Długo odzyskiwałaś radość?

Nawet nie chodzi o odzyskanie radości, bo można ją mieć. Depresja jej nie wyklucza, tylko zaczerpnia, kładzie filtr, przez który nic się nie zdarza do końca. To jak z uzależnieniem. Masz w sobie terrorystę, który cię szantażuje, więc ulegasz. Dopiero kiedy powiesz sobie: „Nie mogę ulegać szantażowi”, zyskasz szansę na autonomię. A to jest potwornie trudne. Czy teraz odczuwasz radość? Staram się. Ale to nie jest jak w grach. To nie jest moje „ustawienie domyślne”. Na pewno mam większą radość spotkania z ludźmi niż na początku drogi. Skala lęku się zmniejszyła. Mogę sobie pozwolić na radość.

Jakie są koszty twojej pracy?

Z wiekiem rosną, dziwnie jakoś. Rosną mimo większej kontroli, wiedzy, świadomości. Proces pracy nad przedstawieniem pochłania każdy zakamarek mojej duszy. A nie mogę być dla teatru na wyłączność, bo mam rodzinę, 12-letnią córkę. Reżyserowałam ostatnio „Iwonę, księżniczkę Burgunda” w Narodowym, co przypłaciłam stanem skrajnym. Próby do „Efektu” są wspaniałe, ale wracam do domu i jestem fizycznie i psychicznie wyjąłowiona, jakbym spotkała dementora. Chyba z wiekiem tracę pojemność na ilość wrażeń dziennie. Bo kończę odessana próbę i właściwie dopiero zaczyna się dzień. Dobra, nie narzekam już. To nie ja wymyśliłam, tylko Saint-Exupéry w „Małym Księciu”, że za bliskość płaci się cenę.

Robisz teatr, ale nie walczysz o jego pozycję.

Bo wszystko dziś jest takie spektakularne. Wszystko jest PR-em. Walczę o to, by widz miał po co przychodzić do Studia. Nie każdy spektakl musi przejść do historii.

A „teatr środka”, jak określano twoje spektakle, cię obrażał?

Nie. Irytował. Nie obrażam się. Mało kto z opisujących teatr widzi różnicę między mną a innymi. Nie ma narzędzi do odbioru niuansowości tego, co proponuję. Ale czytałam, że już odwołali „teatr środka” [śmiech].

Jak sama opisałabyś swój teatr?

Z 50 spektakli, jakie zrobiłam, jest kilka, które były bardzo moje i można by na ich podstawie coś o moim teatrze powiedzieć – „Bambini di Praga” Hrabala i „Imię” Jona Fossego w Teatrze Współczesnym, „Pippi Pończoszanka” w Dramatycznym, „Mewa” w Narodowym, „Rumuni” w Studiu... – one

są z moich trzewi. Robię teatr komunikujący się z widzem. To jego siła. Piszę go smutkiem, ale widzę słoneczną stronę ulicy.

Jesteś podobna do Olgi Boznańskiej?

Wiem, o co pytasz. Jerzy Grzegorzewski porównał z nią mój teatr przy okazji „Opowieści Lasku Wiedeńskiego” w teatrze Ateneum. Ale on miał łatwość formułowania pięknych zdań, więc nie ma co się do tego przywiązywać. Jestem wielbicelką Boznańskiej. W oczach kobiet z jej obrazów, przy pastelowych kolorach, jakich używała, jest czeluść. Tak, o tym opowiadam.

Kiedy budzi się w tobie tęsknota za Czechowem?

Jest zawsze, bo tylko praca nad Czechowem daje mi poczucie sensu. Nie zawsze je mam, codziennie rano muszę je sobie afirmować. Nie jestem lekarzem, którego praca potrzebna jest każdemu. Teatr jest potrzebny małej grupie i naprawdę można się ludzkości przysłużyć w wielu innych dziedzinach. Mówię sobie, że spektakl jest potrzebny teatrowi, że ja jestem potrzebna teatrowi, ale to nie takie oczywiste. Codziennie rano staram się dostrzec sens. Czasami to zajmuje chwilę, a czasami dłużej. Czechow daje poczucie sensu, bo go zapisuje.

Teatr może kogoś zmienić?

Tak. To jest banał, ale piękny. Raz w to wierzę, raz nie. Im bardziej Czechow pokazuje, jak bezradnie, nieumiejętnie żyjemy, jak się błąkamy, jak nieogarnięci jesteśmy w życiu, im bardziej pokazuje ten nasz dziwny taniec upadków i wzlotów, tym bardziej pokazuje sens życia. Sens w bezradności. W samym życiu. I ja się tego kurczowo trzymam.

Co jest twoim antydepresantem?

Dzieci.

A co jest po jaśniejszej stronie ulicy?

Chwile. Leszek Kołakowski mówił kiedyś, że człowiek może być szczęśliwy do piątego roku życia, a potem już są tylko chwile radości, np. jak je jabłko. Nie trzeba być przez całe życie bezwarunkowo i absolutnie szczęśliwym, wystarczą chwile, sekundy zgody na bycie we wspólnocie, w której miliardy ludzi żyje, pracuje, cierpi, umiera.

Są jeszcze iluzje.

Są. Kołem ratunkowym. ●

AGNIESZKA GLIŃSKA aktorka, reżyserka, dyrektorka teatru Studio w Warszawie. Wykładowczyni. Laureatka nagród, m.in. im. Bobdana Korzeniewskiego, Leona Schillera, Feliksa Warszawskiego, Grand Prix „Dwóch Teatrów” (za „Czwartą siostrę” Janusza Głowackiego) i Festiwalu Sztuk Współczesnych R@port (za „Dwoje biednych Rumunów mówiących po polsku” Doroty Masłowskiej). Laureatka Paszportu Polityki i nagrody kulturalnej Wdecha.